

CZAS ŻURAWI

tekst: Marcin Kozak

9.2.2007, Warszawa, łąki wilanowskie, ciepły zimowy dzień. Łąki te znane są z bogatej flory i fauny – nie na darmo w 1996 r. założono tam rezerwat przyrody „Skarpa Ursynowska”. Niejeden raz tam byłem, niejeden raz wróciłem stamtąd pełen wrażeń. Podobnie było teraz.

Plucha była ogromna, co tej zimy można uznać za nadzwyczajne jedynie dlatego, że śnieg padał raczej od niechcenia, a częstość tych opadów nie zadowoliłaby nawet najmniej wybrednych narciarzy. Radowałem się więc rzadkim widokiem dość głębokiego (jak na ten rok, bo prawie do kostek) śniegu i smuciłem jego topnieniem. Po wizycie przy mogile powstańców przystanąłem nad kanałkiem, żeby nacieszyć się widokiem kaczek. A widok był niezwykle miły, bo kaczki – a było ich około dziesięć – były bardzo ze sobą zaprzyjaźnione, co przejawiało się tym, że tuliły się do siebie, tworząc sympatycznie wyglądającą kaczę grupę. Właśnie gdy podchodziłem do mostka, aby się oddać przyjemności podziwiania tych przyjacielskich stosunków, wystartowała spod niego wypłoszona czapla siwa. Dość rzadki to widok na łąkach wilanowskich, zwłaszcza w środku zimy, sprawił mi więc on dość dużą radość – tym bardziej, że czapla okazała się być na tyle tylko wystraszona, że uleciała jakieś piętnaście metrów, po czym spokojnie sobie przystanęła metr od przyjacielskich kaczek. Ja zaś, biorąc z niej przykład, przystanąłem na mostku i kontemlowałem ten swoisty widok.

Moje wrażenia na tym się jednak nie skończyły. Otóż kontemplację mą zakłócił nieoczekiwany harmider tuż nad przyjacielskimi kaczkami i odważną czaplą. Zaciekawiony skierowałem wzrok nieco ku górze i zobaczyłem myszołowa, który, pełen spokoju i opanowania, cierpliwie znosił bezlitosne próby zastraszania ze strony pięciu srok. Wyraźnie nie w smak im było jego towarzystwo, więc raz po raz podlatywały do niego i starały się go choć lekko trącić. Jednej się to nawet udało, co poskutkowało tym, że ptaszysko jedynie poruszyło jednym skrzydłem – efekt niezbyt spektakularny. Tak sobie stojąc, kontemlowałem więc tę scenę w trzech jednocześnie odgrywanych aktach przez trzy trupy aktorskie: przyjacielskie kaczki,

czaplę (wielbicielka monologu, najwyraźniej) i myszołowa ze srokami.

Po kilku minutach myszołów poczuł się znudzony nagabywaniem i skrzeczeniem srok, wzbił się więc w powietrze i udał w kierunku skarpy. Opuściłem więc przyjacielskie kaczki i czaplę, szczerze im dziękując za dostarczone mi wrażenia, i udałem się za hałaśliwym gronem. Odnalezienie uciekinierów okazało się nie być trudne – przelecieli oni około dwustu me-

trów i dalej swe harce odprawiali na drzewie rosnącym na skraju skarpy. Lecz srok przybyło – było już ich około piętnastu, więc harmider wzmógł się zauważalnie. Ptaszysko zdawało się mniej już mieć cierpliwości – sroki przelatywały mu tuż nad głową, siadały pół metra od niego i wrzeszczały mu w ucho obraźliwe skrzeki. Tym razem myszołów wytrzymał już tylko dwie czy trzy minuty, po czym postanowił zmienić środowisko na bardziej komfortowe. Cóż, skoro sroki i tak postanowiły nie pozostawiać go w samotności – i wybrały się za nim, piętnaście czy nawet więcej, tak że sroczy ogon ciągnął się za nim na odległości dwudziestu mniej więcej metrów. Już mi się nie udało ich dogonić – widocznie myszołów postanowił zmęczyć swoje prześladowczynię i wybrał się w dalszą podróż.

Sielanka? Może i tak. Lecz gdy głowę skierować w kierunku Wisły, na zachód, widok okazałby się jeszcze bardziej sielankowy – pełen nie tylko kaczek, czapli, srok i myszołów, ale i żurawi. Dumne, strzeliste, stoją pojedynczo z wyciągniętymi szyjami. Wiedzą, że wkrótce tylko one tu zostaną, a cała reszta jak niepyszna będzie musiała się wynieść i poszukać nowych siedlisk. Wiedzą, że potem i na nie czas nastanie, i odejdą gdzie indziej dominować nad swoimi pobratymcami. Wiedzą, że to one stają się powoli gatunkiem dominującym, wręcz symbolem, warszawskiej dzikiej przyrody. Gdy nadchodzą żurawie, reszta odchodzi.

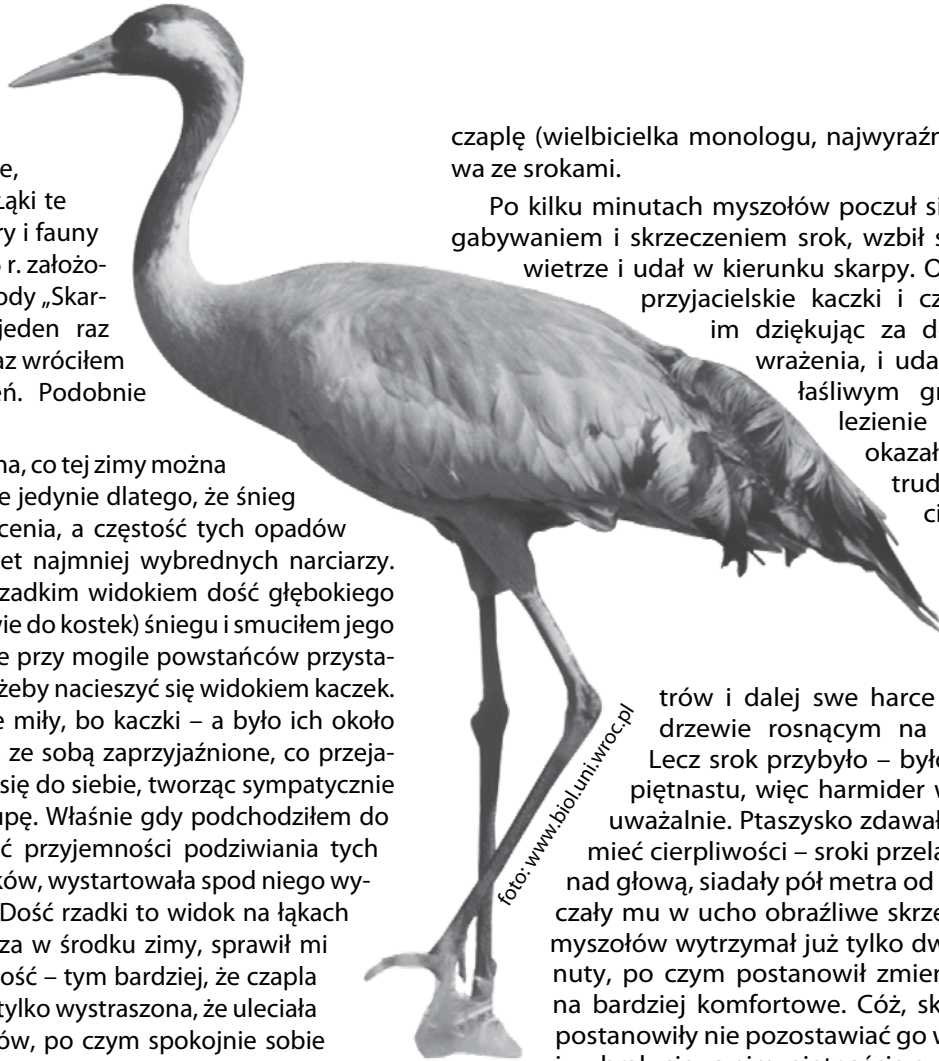


foto: www.biol.uni.wroc.pl